Dodatek „WIECZORÓW RODZINNYCH".

Szkoła Krzemieniecka.

OBRAZKI i WSPOMNIENIA.

Zeszyt grudniowy.

WARSZAWA.
Druk Szyllera
Nowy-Świat 26.

1906.

go młodzieńca przeczytano, prefekt złoty medal podał panu staroście, syn zbliżył się do ojca, a on w te słowa przemówił:

— Synu mój! Józefie! ufność moja bez granic w charakterze i sumieniu władz tej szkoły, upewnia mię, że nie sama ich ku mnie życzliwość, ani żaden interes w przysądzeniu ci tej nagrody zdaniem ich kierowały. Żeś na nią zasłużył, zacni ci nauczyciele mnie zapewniają, wierzę więc i z prawdziwą serca pociechą zasługę twoją uznaję i do tego drżącego z radości ojcowskiego serca przyciskam!

Wam dostojni nauczyciele i przełożeni tej szkoły najczulsze składam dzięki, żeście wszczepili w ten młodociany umysł zamiłowanie nauki i poczucie obowiązku. Czem on będzie na świecie, wasze to dzieło, i za trudy około niego podjęte moja ku wam wdzięczność do grobu serca mego nie odstąpi. Ty, mój synu, zaciągnąłeś dług wdzięczności względem szkoły, nauczycieli i ziemi rodzinnej, z długu się wypłacisz, jeżeli w dalszem życiu pójdziesz drogą wiary, prawości i pracy obywatelskiej, staniesz się godnym szacunku

obywateli, godnym imienia ucznia gimnazyum Krzemienieckiego, imienia Polaka! Na znak, że mi to przyrzekasz podaj mi dłoń swoją!

Przy tych słowach ujął pan starosta wzruszonego młodzieńca pod ramię, w drugą rękę wziął medal i poszli obaj ku ławce, w której siedziała pani starościna. Widok ojca z synem był rzewnym i radosnym obrazem dla patrzących. Jaki ojciec, takim kiedyś będzie syn! szeptano.*) Orzeł z orlęciem! — mówili inni. Tymczasem pan starosta stanął z synem przed żoną i rzekł:

— Synu kochany! nikt godniej nie zdoła cię ozdobić tym znakiem zaszczytnym, jak ta, która przelała w twe serce uczucia miłości Boga, miłości honoru i miłości ojczyzny!

Nie mógł mówić więcej, wzruszenie zamykało usta kochającemu ojcu; oddał żonie medal, Józef przed matką ugiął kolano; drżącą ręką przypięła starościna medal synowi, a gdy usta otwierała aby przemówić, płacz głośny wydarł się z piersi szczęśliwej matki.

Po egzaminach młodzież rozbiegła

---

*) Niestety piękne nadzieje nie ziściły się. Józef Czacki umarł nagle w młodym wieku.

się pod dachy rodzicielskie, pan starosta nie mógł pozostać ani w Krzemieńcu, ani w rodzinnym Porycku. Książę Bagration bowiem ze swemi wojskami wyruszył na wojnę z cesarzem Napoleonem, który z ogromną armią Rosyę najechał.

Po odjeździe jego, wielu Wołynian, a w ich liczbie i pan starosta z najstarszym synem Wołyń opuścili. Pan starosta zatrzymał się jakiś czas u krewnych na Podolu, najdłużej jednak zatrzymał się w Tarnorudzie u państwa Malczewskich, którzy z otwartemi rękami zacnego tułacza w domu swoim przyjmowali.

Pod gościnnym dachem państwa Malczewskich bawiło wielu tułających się Wołynian, nęciła ich tu gościnność gospodarza domu, nęciła obecność pana starosty. Liczni goście w domu państwa Malczewskich nie przeszkadzali panu staroście w pracy. Przesiadywał nad nią kilka godzin dziennie. Przeprowadzał liczne korespondencye z władzami szkół jemu podległych, a i Krzemieniec dawał mu nieustanne zajęcie. Do pana starosty odnosił się bowiem dyrektor lub prefekt w rozlicznych sprawach szkoły w Krzemieńcu.

Szkoła bowiem w Krzemieńcu rozszerzała się z każdym rokiem. Oprócz czterech klas i trzech kursów otworzył Czacki szkołę geometrów i szkołę mechaników, obie szkoły miały na względzie cele praktyczne. Szkola geometrów dostarczała wiejskich budowniczych, szkoła mechaników — ludzi, umiejących robić narzędzia i maszyny rolnicze. Rozszerzono gmachy szkolne, założono bogatą bibliotekę, która mieściła się w ogromnej sali, przeznaczonej także na uroczystości szkolne, np. egzamina, o których wiemy, że pierwotnie odbywały się w kościele.

Czacki, jakkolwiek nieobecny w Krzemieńcu, wszystkiem kierował i zarządzał; w licznych sprawach odnosił się do władz uniwersyteckich w Wilnie, często nawet do najwyższej naukowej władzy, do księcia Adama Czartoryskiego, kuratora okręgu wileńskiego. Po kilku godzinach pracy, pan starosta bawił się rozmową z gośćmi, grą w szachy, lub też zabawiał się z dziećmi. Gry w karty nie lubił, dzieci zaś kochał serdecznie i dla ich przyjemności należał do najrozmaitszych gier, a nawet do ślepej babki. Zwykle do zabawy z dziećmi wciągała pana starostę Anul-

ka, córka państwa Malczewskich, ulubienica pana starosty.

Pewnego razu przyjechała do Tarnorudy uboga wdowa, zubożała wskutek tego, że wojska Napoleona zrabowały jej folwarczek, zabrały konie i bydło. Nieszczęśliwa kobieta udała się o pomoc do państwa Malczewskich. Oboje państwo obdarowali wdowę, a pospieszyli także z datkami goście, bawiący w Tarnorudzie. Pan starosta właśnie był bez grosza, a wdowie dopomódz chciał koniecznie, otóż zdjął z palca kosztowny pierścień z herbem Czackich i podarował go wdowie. Gdy goście dowiedzieli się o tem, bawiący w Tarnorudzie, wykupili od wdowy pierścień, nie chcąc aby pamiątka rodzinna Czackich wyszła z ich domu. Wykupiony pierścień dano Anulce z poleceniem, aby go panu staroście niepostrzeżenie na palec wsunęła.

Zręczna dziewczynka wywiązała się z polecenia tak doskonale, że pan starosta dopiero nazajutrz z wielkiem zdumieniem podarowany wdowie pierścień na swoim palcu ujrzał.

Gdy o wyjaśnienie tego zjawiska państwa Malczewskich zapytał, odpo-

wiedzieli mu, że wdowa rodzinnej pamiątki Czackich wziąć nie chciała.

Pan starosta, wysłuchawszy wyjaśnienia, pokiwał tylko głową, a łzy rozrzewnienia zabłysnęły mu w oczach. Domyślił się bowiem, jakim sposobem darowany pierścień do rąk jego wrócił.

Może zdziwicie się, że pan starosta mógł znaleźć się bez grosza? W położeniu takiem znajdował się nie rzadko. Pensyą swoją, którą pobierał jako wizytator, obracał na zakupno książek do biblioteki w Krzemieńcu. Lecz pan starosta był właścicielem licznych dóbr, z których miał wielkie dochody, zawołacie. Cóż z tego! znaczna część tych dochodów szła także na potrzeby gimnazyum Krzemienieckiego.

Na liczne potrzeby szkoły nie wystarczały fundusze rządowe i obywatele wołyńscy dobrowolnie roczne datki na szkołę dawali. Owóż często się trafiało, że ktoś swego zobowiązania nie dotrzymał, i wtedy to pan starosta dokładał ze swego, nie chcąc, aby ukochana szkoła przez to cierpiała. Przy zdarzonej sposobności umiał wszakże przypomnieć daną, a nie dotrzymaną obietnicę.

Zdarzyło się jednego roku podczas

egzaminu, że jeden z licznie zebranych obywateli zadał uczniowi pytanie z historyi powszechnej. Dzieciak odpowiedział z początku doskonale, naraz zaciął się i tak mocno zakłopotał się swojem niepowodzeniem, że ani rusz dalej odpowiadać nie mógł. Pan starosta przyszedł w pomoc zawstydzonemu dziecku i zaczął mu podpowiadać, a gdy i to nie pomogło, sam za niego odpowiedź dokończył.

Po egzaminie ów obywatel, który pytanie uczniowi zadał, wydobył z kieszeni rubla, a przykładając go do boku starosty, rzekł:

— Chodź! zasłużyłeś za odpowiedź z historyi na medal, niechże ci go przypnę!

— Owszem! daj rubla — rzekł pan starosta, dotychczas bowiem nie dałeś nic z kwoty, przeznaczonej na szkołę, będzie przynajmniej ten jeden rubel.

Przymówkę pana starosty wziął do serca ów obywatel, bo nazajutrz przysłał na potrzeby szkoły 500 dukatów.

Jakkolwiek państwo Malczewscy dokładali wszelkich starań, aby panu staroście pobyt w swoim domu miłym uczynić, to przecież przymusowa gościna, przykrą mu była. Niepokoił się o

szkołę w Krzemieńcu, drażniło go przymusowe wydalenie z domu, w dodatku tęsknił za rodziną, z którą widywał się tylko czasami, gdy pokryjomu na Wołyń pojechał. Do tych strapień dołączyła się troska poważna, odnosząca się do złych interesów majątkowych.

Tymczasem rozpoczął się nowy rok szkolny w Krzemieńcu, uczniowie z powodu wojny i obawy prześladowań Komburleja zjechali się nie licznie. Bolało to pana starostę. A że na Wołyń przybył książę Czartoryski, więc pan starosta chciał się z nim zobaczyć i przy jego pomocy złe usunąć, w tym celu wyjechał na Wołyń; w drodze zachorował, z Dubna już dalej jechać nie mógł, wszelkie starania lekarskie na nic się zdały, choroba wzmagała się gwałtownie, organizm delikatny, wyczerpany pracą i zmartwieniami nie mógł długo walczyć z ciężką chorobą, która też skończyła się śmiercią.

W ostatnich dniach życia pan starosta ciągle miał na myśli uczniów i szkołę w Krzemieńcu. Podczas jego choroby nieustannie drogą z Krzemieńca do Dubna jechali uczniowie, profesorowie lub mieszkańcy miasta, chcieli

bowiem odwiedzić chorego lub dowiedzieć się o jego zdrowie.

Możecie wyobrazić sobie co działo się w Krzemieńcu, gdy doszła tu żałosna wiadomość o śmierci pana starosty. Wszyscy mieszkańcy Krzemieńca opłakiwali go, jakby najbliższego krewnego.

„Śmierć Tadeusza Czackiego nastąpiła 8-go lutego 1813 roku. Ciało, stosownie do woli zmarłego, przewieziono do Porycka, gdzie 19-go lutego odbył się wspaniały pogrzeb, przy nadzwyczaj licznem zebraniu duchowieństwa i obywatelstwa. Kasper Cieciszewski, biskup łucki i żytomierski wraz z księdzem Janem Kantym Podhorodeńskim, sufraganem, odprawili uroczyste żałobne nabożeństwo; ksiądz Prokop Krzywicki, kaznodzieja z Krzemieńca sławił cnoty zmarłego, rozpoczynając od słów: „Pokój i cześć czyniącemu dobrze.“ Jan Chołoniewski, marszałek powiatu włodzimirskiego w pięknej mowie wykazał zasługi Tadeusza Czackiego w dziedzinie wychowania i oświaty; nazwał zmarłego wielkim jałmużnikiem w sprawie oświaty.“

„Pod koniec roku szkolnego wspomnienie założyciela szkoły w Krzemieńcu nanowo było przywołane przez pro-

fesora wymowy księdza Alojzego Osińskiego. W całym wydziale wileńskim odbywano żałobne nabożeństwa. Serce Czackiego złożono w jednej z sal gimnazyum Krzemienieckiego z tym trafnym napisem z ewangelii: Gdzie skarb twój, tam i serce twoje.*)

Przedwczesna śmierć Tadeusza Czackiego była niepowetowaną stratą dla społeczeństwa naszego. Człowiek taki, to prawdziwy drogocenny skarb! To też z naszego skarbca narodowego dobyłam wspomnienie o mężu wiekowej chwały, aby pamięć człowieka wielkiego duchem, wielkiego cnotą żyła między wami; abyście zapatrzeni w postać zasłużonego męża, chcieli podążyć jego śladem, abyście nie skarleli duchem śród codziennych drobnych spraw, abyście nie przywiązywali myśli waszej jedynie do szukania dobra osobistego.

Tadeusz Czacki w liście do najstarszego syna napisał:

„Los nigdy mnie się nie uśmiechał. Od kilkunastu lat publiczne i prywatne przygody brzemieniem swojem przygniatają mnie. Opatrzność może położyć granicę nieszczęściom, może je

*) Encyklopedya wychowawcza. Tadeusz Czacki przez Piotra Chmielowskiego.

zwiększyć. Szanujmy wyroki nieba; a pracujmy, aby sumienie nasze zaświadczyło, że jesteśmy godni otrzymać pomyślność w udziale.

Już zbliżasz się do tego wieku, gdzie będziesz poznawał te wszystkie przyczyny, które kraj nasz wymazały z liczby narodów i okropne spuściły klęski. Przekonasz się, że sama cnota jest wszystkiem; ona towarzyszyć winna od pierwszych lat do grobu; ona jedna czyni, że człowiek nie może być zupełnie szczęśliwym. Pamiętaj! abyś ziomkom służył. Są ludzie, jest ta sama ziemia, która przodków twoich żywiła i ciebie żywi. Jest i będzie ten sam Bóg, który bliźnim przynosić pomoc i nawzajem ją odbierać każe.“

Te słowa, które kochający ojciec napisał synowi, niechże zapiszą się w pamięci wszystkich. Nie zapomnijcie! że żyjemy na tej ziemi, którą krwią swoją przodkowie nasi zjednoczyli, na tej ziemi, użyznionej krwią obrońców ojczyzny i potem pracowitych rolników. Do trudu przodków, dołóżmy z naszej strony trud swój, idąc śladem niezmordowanego w pracy około dobra publicznego, Tadeusza Czackiego.

VIII. Z życia uczni. Wykroczenia i zabawy.

Słusznie nazwał Czackiego Jan Chołoniewski „Wielkim Jałmużnikiem". Gdy bowiem brakło funduszów na cele oświaty, jałmużną obywatelską braki zapełnić postanowił. Czacki pierwszy na ten cel łożył z uszczerbkiem majątku własnego, a za dobrym przykładem szli inni, i tak zakład naukowy w Krzemieńcu rósł z rokiem każdym.

I tak Filip Plater założył własnym kosztem drukarnię w Krzemieńcu w budynku na ten cel zbudowanym. W drukarni tej drukowano książki szkolne i sprzedawano je młodzieży o dziesięć procent taniej niż gdzieindziej. Obywatelki i obywatele zapisywali znaczne kwoty na utrzymania ubogich uczniów w szkole.

Pan marszałek Dziewicki kazał w Krzemieńcu wybrukować ulice, zatem mieszkańcy miasteczka i młodzież szkolna nie grzęźli już w błocie. Grono nauczycielskie i młodzież krzemieniecka ożywiona duchem Czackiego, pracowała usilnie. Szło zatem w szkole pomyślnie, nie obeszło się jednak bez usterek i wykroczeń między młodzieżą, która jednak dzięki prefektowi naginała się bez trudności ku dobremu. Za przykład niech posłuży następujące zdarzenie:

Było na kursach trzech młodzieńców, pochodzących z zamożnych rodzin. Paniczykom pracować się nie chciało, nieregularnie też uczęszczali do szkoły, czas przepędzali na zabawach zdrożnych. Prefekt najwpiew upominał, a następnie surowo ukarał złych uczniów. Kara jednak nie doprowadziła do opamiętania chłopaków, lecz rozjątrzyła ich tak bardzo na prefekta, że zrobili spisek i postanowili powracającego wieczorem do domu napaść i obić.

W dniu, w którym zamierzali dokonać haniebnego czynu, zapukano do klasy, w której znajdowali się spiskowcy, nakazano wszystkim trzem udać

się natychmi st do prefekta. Oczywiście wezwania posłuchali i do prefekta poszli zupełnie spokojni, spisek bowiem uknuli między sobą i zachowali go w tajemnicy, więc byli pewni, że prefekt o nim nie wie. Przyszedłszy do mieszkania prefekta, weszli do pierwszego pokoju, nie zastali tu jednak nikogo, więc poszli do drugiego, drugi był także próżny, trzeci tak samo, w czwartym dopiero zastali prefekta.

— Proszę za mną! — powiedział do młodzieńców i oprowadził ich po pustem mieszkaniu, drzwi wchodowe na klucz zamknął.

— Oprowadziłem was po mojem mieszkaniu — mówił prefekt do zadziwionych młodzieńców — abyście się przekonali, że prócz was i mnie nikogo niema. — Potem sięgnął za piec, wydobył trzy kije leszczynowe, a podając każdemu po jednym i rzekł:

— Teraz tu wybijcie prefekta! tu nikt nie zobaczy i nie usłyszy ani waszej zawziętości, ani wstydu obitego starca. — Młodzieńcy w osłupieniu słuchali słów prefekta, rumieniec wstydu oblał ich lica, poodrzucali od siebie kije i z płaczem rzucili się prefektowi do

nóg, błagając o przebaczenie i przyrzekając poprawę.

Prefekt, podniósłszy z ziemi płaczących i żałujących młodzieńców, rzekł:

— Wierzę waszym przyrzeczeniom, zawiniliście więcej brakiem zastanowienia się, niż złą wolą. Zamiast uznać, że kary, jakie wam wyznaczyłem, sami na siebie sprowadziliście złem postępowaniem, wyście złość ku mnie powzięli. Ja zaś karać was musiałem, bo upomnienie nie pomogło; karą chciałem was poprawić i przekonać waszych kolegów, że winnego kara nie minie. W tej chwili przekonałem się, że serca wasze, moje dzieci, nie są przewrotne, owszem, są to serca czyste i one przemawiają za wami, a miłość honoru przez założyciela tej szkoły zasiana i w sercach waszych wschodzi, i o waszej poprawie mię upewnia.

Młodzieńcy, ucałowawszy ręce zacnego prefekta, wyszli i istotnie poprawili się.

Cały rok nie zasłużył żaden z nich na naganę, a jeden nawet otrzymał stopień celujący.

Przy każdej sposobności przypominano młodzieży w Krzemieńcu zacnego założyciela szkoły. I tak: roku 1818

przyjechał do Krzemieńca książę Adam Czartoryski, był na egzaminie, a podczas rozdawania nagród w ten sposób wyraził się o zmarłym założycielu szkoły:

„W Tadeuszu Czackim pałała, jak w mężach starożytnych, czysta miłość ojczyzny, cnoty i chwały. Od pierwszej młodości każdy rok życia Czackiego odznaczony był dziełem lub pracą, cnotliwem usiłowaniem lub ofiarą użyteczną. Wewnętrzna moralna siła jakaś, niezwalczona bez przerwy naglila go do pięknych czynów, do poświęcania się, to przyjaciołom, to cierpiącym, to ojczyźnie swojej, to dobru ludzkości i przyszłych pokoleń; o sobie radzić, swój tylko pielęgnować interes nie było w jego mocy.“

Przypatrywaliśmy się w Krzemieńcu rozmaitym uroczystościom, spojrzyjmy jeszcze, jak odbywała się tam majówka.

Wszystko tu rozpoczynano od Boga, więc i dzień majówki rozpoczynał się, jak każdy inny, od mszy świętej o godzinie 7-mej. Po nabożeństwie wesoła młodzież zgromadziła się na galeryi gmachu szkolnego, niebawem nadchodził prefekt, wtedy rozdawano u-

czniom chorągwie, klasy szykowały się porządkiem, przy każdej nauczyciel, wszyscy w mundurach.

Naprzód szła szkoła mechaników, profesor Zaliwski, dzielny mechnik, nazywał swoich uczniów hajdamakami, na dzień majówki, zamienił swoich hajdamaków na porządnych żołnierzy, ubrał ich bowiem jak saperów.

Za saperami szły cztery klasy, za klasami szedł kurs pierwszy, uczniowie kursu drugiego jechali konno pod dowództwem nauczyciela ekwitacyi, za konnicą postępowali profesorzy, prefekt i wielu obywateli.

Piękny, malowniczy orszak ciągnął przez całe miasto, a wszyscy mieszkańcy miasteczka wysypali się z domów, dla ucieszenia oczów okazałym pochodem. W pochodzie przecie znajdowali się synowie zamożniejszych i uboższych mieszkańców miasteczka. Cóż dziwnego, że każdy rad był spojrzeć na swego gagatka, maszerującego w tak pięknym pochodzie. A chociaż byli i tacy, którzy krewniaków w szkole nie mieli, pomimo to odkładali na chwilę robotę, aby spojrzeć na szkolarzy.

Szkoła była, jak to mówią, „oczkiem w głowie“ krzemieńczanów. I nic

dziwnego, wszakże Krzemieniec szkołą urósł, przybyło domów, przybyło mieszkańców, a ci dali kupcom i rzemieślnikom zarobek; poza tem krzemieńczanie wiedzieli, że z tych malców, maszerujących w takt muzyki, którą na uroczystość szkolną sprowadził marszałek Drzewicki, wyrosną zacni obywatele na pożytek ojczyzny.

Gdy orszak przeszedł przez miasto, starsi i poważniejsi wsiadali do powozów, a młodzież pieszo pospieszała do celu wycieczki — pięknego lasu za królewskim mostem.

W lesie piękny orszak połamał się na drobne kawałki, każda cząstka zabawiała się w inny sposób, stosownie do wieku: jedni grali w piłkę, lub biegali do mety, drudzy bawili się w żołnierzy, robili zasadzki, do czego nadawały się liczne jary w lesie, inni znowu ścigali się na koniach, inni fechtowali się zawzięcie. Poważniejsi zbierali zioła do zielników, lub prowadzili poważne dysputy z dziedziny historyi lub literatury. Wszyscy bawili się doskonale!

Gdy ubawieni i pomęczeni zasiedli do posiłku, zajadali z apetytem mleko

kwaśne z chlebem, lub pierogi polane śmietaną.

Po obiedzie przyjeżdżało obywatelstwo, aby przypatrywać się i rozweselić widokiem swobodnej młodzieży. Majówka przeciągnęła się do zachodu słońca. Na komendę, rozproszeni po lesie, złączyli się znowu w malowniczy pochód, który ruszył ku miastu. Gdy zbliżono się do murów Bazyljańskich, oczom nadchodzących ukazała się naraz wielka ilość kolorowych światełek, najwyżej jaśniały litery z promiennych gwiazd ułożone: L. W., oznaczające Liceum Wołyńskie, taką nazwę nadano szkole w Krzemieńcu od roku 1818. Litery umieszczono na szczycie bramy tryumfalnej, którą ustawiono podczas nieobecności szkolarzy.

— Dla kogo brama? — pytali zaciekawieni chłopcy.

— Dla kogóżby, jeżeli nie dla nas!

— Za cóżby dla nas?

— Za zwycięstwa odniesione dziś podczas bitwy.

— Nie wszyscy jednak zwyciężyli!

— Nic nie szkodzi, nie zwyciężą dziś, to zwyciężą jutro.

Podczas, gdy chłopcy biedzili się daremnie nad odgadnięciem przyczyny

urządzenia bramy tryumfalnej, zbliżyli się niebawem do zaciekawiającego ich przedmiotu.

W bramie stał marszałek Drzewicki z poważnymi obywatelami. Młodzieży, gdy przez bramę przeszła, kazano ustawić się na poblizkiem wzgórzu, at ymczasem nadszedł prefekt z gronem nauczycieli, a gdy pytać chciał, co ta parada oznacza, zbliżyło się do niego poważne grono z marszałkiem na czele, który w imieniu obywatelstwa piękną mową powitał prefekta i w najczulszych wyrazach dziękował szanownemu starcowi za tyloletnie trudy ponoszone około wychowania młodzieży.

Prefekt bowiem był od samego początku założenia szkoly w Krzemieńcu, przeżył już trzech dyrektorów, t. j. Czecha, który umarł 1810 r., drugim dyrektorem był Ściborski, ten jednak ustąpił swego urzędu Alojzemu Felińskiemu, znanemu i cenionemu autorowi, którego śmierć wkrótce szkole wydarła.

Prefekt Jarkowski ciągle wytrwale i skutecznie pracował w Krzemieńcu, i oto wdzięczni rodzice na zakończenie szkolnej uroczystości, oddają hołd zasłużonemu wychowawcy, dając młodzie-

ży przykład poszanowania i czci dla ludzi zasłużonych.

Niespodziewany hołd rozrzewnił czcigodnego starca, zaledwie w kilku słowach odpowiedzieć zdołał, ale słowa płynęły z serca, więc też trafiły do serc wszystkich zebranych na uroczystości. Ściskali sędziwego Jarkowskiego ojcowie, a matki zebrały się na wzgórku, na którym ustawiono krzesła dla starszych uczestników zabawy.

Zabrzmiała huczna muzyka, a oczom zebranych gości ukazały się niespodziewanie wspaniałe fajerwerki.

Ukazały się olbrzymie litery L. W. otoczone dwunastu ognistemi fontannami, obok których zabłysło różnobarwnym światłem dwanaście młynków, sypiących niezliczoną ilość świetlanych iskier. Ledwie zniknęło cudne zjawisko, aliści z trzystu rac wysypało się mnóstwo gwiazd brylantowych.

Sztuczne ognie w owych czasach były rzeczą rzadką, to też niespodzianka była tem milszą dla starszych i młodszych widzów.

Rozrzewniony prefekt, oświadczył uczniom na dobranoc rzecz bardzo miłą' oto że dzień jutrzejszy będzie wolny od nauki szkolnej. Uroczystość bowiem

przeciągnęła się do późna, zatem troskliwy o zdrowie młodzieży prefekt, pozwolił uczniom wypocząć i wyspać się po dniu, w którym przeżyli tyle różnorodnych wrażeń. Nazajutrz, pomimo rekreacyi, nie było wycieczki za miasto, zato bawiono się wyśmienicie na galeryi gimnazyalnej.

IX. Uczniowie szkoły krzemienieckiej.

Szkoła krzemieniecka przysporzyła krajowi wielu pożytecznych ludzi, a wydała także poetów i autorów. Antoni Malczewski, autor ślicznego poematu: Marya, był jednym z pierwszych uczniów szkoły krzemienieckiej i ulubieńcem Tadeusza Czackiego.

Znani i zasłużeni autorzy: Karol Sienkiewicz i Stefan Witwicki byli także wychowańcami liceum krzemienieckiego.

A i ów Antoś, którego przygody poznaliśmy w poprzednich rozdziałach, wyrósł na pożytecznego człowieka, kochającego szkołę krzemieniecką, jak dom rodzinny. Po skończeniu nauk, powrócił do ukochanej szkoły jako nauczyciel nauk przyrodniczych. Będąc starcem napisał swoje pamiętniki pod tytułem: Ramoty starego Detiuka, z której to książki zaczerpnęliśmy wiele szczegółów do niniejszego opowiadania.

Juljusz Słowacki, jeden z trójcy największych naszych wieszczów, choć uczęszczał do gimnazyum w Wilnie, przejęty był duchem tej szkoły, bo w Krzemieńcu się urodził i tam spędził wiele miesięcy letnich.

Lecz zamiast wymieniać nazwiska uczniów szkoły krzemienieckiej, wprowadzę was raz jeszcze między nich, abyście z nimi zrobili bliższą znajomość; mianowicie, że nadarza się ku temu stosowna chwila, bo uczniowie wybierają się na wycieczkę za miasto.

Uczniowie bowiem szkoły krzemieckiej nie tylko w pogodny dzień majowy robili wycieczki za miasto, lecz bardzo często w niedzielę lub święta, oczywiście, jeżeli na to pozwalała pogoda.

Owe świąteczne wycieczki nie odbywały się z taką okazałością, jak majówka, niemniej uczniowie bawili się na nich wyśmienicie.

Najczęściej chodzono do lasu, gdzie uczniowie rozsypywali się na wszystkie strony, biegając z jaru do jaru, przeskakując rowy, pnąc się po rozmaitych zbyrkach, a nawet włażąc na drzewa. Dwóch młodzieńców, zdaje się rówieśników, są niby jacyś poważniejsi: nie robią niebezpiecznych susów,—lecz idą

spokojnie w głąb lasu i rozmawiają. Rozmowa jednak przerywa się ciągle, widocznie nie jest głównym celem wycieczki.

Obaj zajęci są zbieraniem kwiatów, zbierają je jednak w odmienny sposób. Jeden bowiem układa z nich piękny bukiet, drugi z pomocą noża, wydobywa z ziemi drobniejsze rośliny z korzeniami, z większych zaś t. j. krzewów lub drzew,bierze gałązki, jedne i drugie układa starannie w obszernem pudle.

— Bój się Boga Józiu! nie zrywaj tego storczyka! — zawołał naraz na swego towarzysza ten, który rośliny wkładał do pudełka.

Nazwany Józefem posłyszawszy rozpaczliwe niemal wołanie swego towarzysza, puścił trzymaną w rękach roślinę, i zapytał?

— Cóż ci zależy na tem, abym tego storczyka nie zerwał!

— Ach, ile mi zależy! wszakże poszukuję go daremnie całe lato, jest to odmiana bardzo rzadka, to też nie łatwo taki okaz zdobyć do zielnika; — odpowiedział ten, który rękę Józefa przeraźliwym krzykiem od zerwania storczyka wstrzymał. Teraz pochylony nad upra-

gnioną rośliną, odkopywał ją starannie, aby bulwek nie uszkodzić.

Józef zostawiwszy towarzysza, zajętego wykopywaniem storczyka, szedł dalej, zrywając po drodze wonne, leśne zioła; naraz zatrzymał się i zawołał:

— Karolu, chodź no! jest tu jakaś dziwna roślina, może i ona przyda ci się także do zielnika.

— Idę! — odpowiedział Karol, — nie szedł jednak, ale biegł, ile mu tylko sił starczyło; a że trzeba było piąć się w górę, więc dyszał głośno z umęczenia.

— Po co tak pędzisz? wszakże roślinie nie zagraża najmniejsze niebezpieczeństwo, nie zerwę jej bez twego pozwolenia, — mówił żartobliwym tonem Józef, patrząc na dyszącego głośno i zaczerwienionego Karola. Ależ z ciebie zapalony botanik!

Karol nadbiegł właśnie, spojrzał na wskazaną przez Józefa roślinę, a nie mogąc ze zmęczenia wymówić ani słowa, ruszył pogardliwie ramionami, a po chwili odetchnąwszy, rzekł:

— Oj poeto, poeto! miałeś mnie wołać poco! wszakci to najpospolitszy widłak, który już oddawna mam w zielniku.

Józef spokojnie wysłuchał słów Ka-

rola wymawianych tonem politowania nad jego nieświadomością botaniczną, poczem spytał:

— Więc mogę urwać ów widłak?

— Urywaj, wiele ci się podoba, — odpowiedział Karol.—Wystarczy ci nie tylko do bukietu, ale możesz nim przystroić obraz twego patrona nad łóżkiem.

— Tego nie zrobię, — odrzekł Józef zrywając widłak.

— A to dlaczego? — pytał Karol.

— Zapomiałeś, że nie mieszkam sam — mówił Józef, że mieszka ze mną trzech wisusów, dla których widłak koło obrazu byłby pokusą. Oni go tu w lesie nie dostrzegą, dostrzegą go jednak nad obrazem i oberwać zechcą, przy tej sposobności zrzuciliby jeszcze mego patrona.

— Prawda, — rzekł Karol, zapomniałem o twojej roli mentora. Żart na stronę, ale masz nie lada zadanie z tymi wisusami. Rola dozorcy nie jest do pozazdroszczenia!

— I jest — i nie jest — odpowiewiedział spokojnie Józef.

— Jak to być może? tłomacz się jaśniej,—mówił Karol. spoglądając z zaciekawieniem na towarzysza.

— Jeżeli weźmiesz na uwagę sam

trud jedynie — to nie jest; jeżeli zaś uwzględnisz wewnętrzne zadowolenie, jakie daje nam przeświadczenie, że się stoi o własnych siłach, że swoją pracą oszczędza się ojcu troski, — to jest.

Karol słuchając poważnych słów kolegi sam spoważniał, myślał, że jego kolega jest nietylko poetą, lecz moralistą. Czyż można go nie kochać i nie szanować?

— Nie mam ja znowu tak wielkiego trudu z mymi chłopakami. Wisusy, bo wisusy! ale uczą się chętnie, a w klasie zachowują się przyzwoicie.

Jakiś czas szli milcząc, milczenie przerwał Karol temi słowy:

— Aleśmy się uchodzili i zmordowali ogromnie! Trud nasz jednak nie był daremny. Ty masz bukiet okazały, a ja zdobyłem także wiele pięknych okazów do zielnika, więc należy się nam odpoczynek. Siadajmy tu na tem wzgórzu, będziemy mieli cudny widok przed oczami.

— Zgoda, siadajmy! — odrzekł Józef — ja dziś mam dzień swobodniejszy niż kiedyindziej, bo moich wisusów zabrała matka do domu na kilka godzin.

Usiedli; drzewa leśne szumiały nad nimi, szumiała woda zlewająca się ku dołowi z górskiego potoku, ptaki świer-

gotały wesoło, a zioła leśne rozlewały balsamiczne wonie. To też obaj młodzieńcy rozkoszowali się wdziękami przyrody.

Rozweseliły one spokojnego i nad wiek poważnego Józefa, którego koledzy poetą nazywali; pisywał bowiem wiersze, a jego wypracowania stylistyczne przewyższały o wiele wypracowania kolegów. Karola nazywali koledzy matematykiem, celował bowiem w tym przedmiocie, nie miał jednak do matematyki wyłącznego zamiłowania, pociągały go tak samo nauki przyrodnicze.

Teraz obaj młodzieńcy wypoczywali, a raczej wypoczywali częściowo tylko, bo usta im się nie zamykały i języki obracały pospiesznie. Po chwili jednak rozmowa się przerwała, Józef mówił wyłącznie, Karol słuchał.

Posłuchajmy opowiadania Józefa:

—Powiadają wszyscy, że miejsce mego urodzenia i pobytu w pierwszych latach mego życia, jest szkaradne. No, Brody do najpiękniejszych miast nie należą co prawda. Ale folwark mego ojca leżący w odległości półmilowej od Brodów, na równi piaszczystej, przedstawia się oczom moim jak raj cudowny. Dworek, co prawda, mały i ubogi, ależ zato

jaki cudny sad go otaczał a jaka za sadem łączka!

Gdy trawę skoszono, z jakąż rozkoszą przełaziłem przez płot, porywałem grabie, które ledwie utrzymać mogłem w małych rękach i gromadziłem siano w kopy. Czasem wsadził mnie który parobek na szczyt kopy siana. O jakże wtedy dumny byłem z mego wysokiego stanowiska! Zdawało mi się, że tronu wspanialszego nie miał i król Salomon.

A co to za uciecha była, gdyśmy się z bratem dostali do lasu! Zbieraliśmy grzyby, które najczęściej matka wyrzucała, bo były trujące. Za to na poziomkach, borówkach lub malinach nigdyśmy się nie pomylili! Łakomstwo jednak nie pozwoliło nam przynosić jagód do domu, zjadaliśmy je na miejscu.

Gdy nadeszła zima, kończyła się nasza swoboda, trzeba było siedzieć w małych pokoikach i ślęczeć nad abecadłem. Matka i ojciec naprzemian do nauki nas naganiali i sami nas czytać i pisać nauczyli. Wreszcie oddali mnie do szkół do Brodów. Tu jeszcze mniej było swobody.

Oj trudno było nawyknąć do ławy szkolnej, ale strach przed nauczycielem zrobił swoje, nauczył mnie siedzieć spo-

kojnie. Gdym spojrzał na nauczyciela, który nazywał się Fontany, to mi ani w głowie były figle! Pragnąłem być jak najmniejszym, aby jak najmniej na siebie zwracać uwagę nauczyciela. Gdym podniósł oczy i ujrzał surową twarz nauczyciela, jego ogromny nos, i zęby straszliwie wielkie, zachodzące jeden na drugi, to byłbym rad schować się do mysiej jamy. Nie potrzebnie się jednak lękałem, przekonałem się wkrótce, że brzydki Fontany był dobrym człowiekiem. Polubił mnie, jako spokojnego dzieciaka, chwalił za pilność i nagrodę przyrzekał.

Uczyłem się chętnie, czekałem niecierpliwie egzaminu, bo spodziewałem się na pewne nagrody. Byłem tak swego pewny, że zaprosiłem na egzamin dorosłe córki gospodyni, u której mnie rodzice umieścili.

Egzamin poszedł pięknie. Nie mogłem doczekać się chwili rozdania nagród. Nadeszła nares cie wyczekiwana chwila. Ale oto co za rozczarowanie, nie dostałem orderu*) tylko pochwałę. Nogi pode mną zadrżały gdym ujrzał order na szyi Łozińskiego, drągala do-

---

*) W szkołach austryackich na początku XIX w dawano zamiast książek ordery, jako pierwszą nagrodę

rosłego prawie. Order wisiał na szerokiej żółtej wstędze ozdobionej dużą kokardą, a na niej połyskiwała blacha tombakowa, do której był przytwierdzony czarny dwugłowy orzeł austryacki.

Jakiego doznałem uczucia żalu, gdy tę pożądaną nagrodę na piersiach nie swoich lecz cudzych ujrzałem! tego dziś ani opowiedzieć nie potrafię. A gdy na domiar złego spojrzałem na córki gospodyni i dostrzegłem, że się złośliwie uśmiechały, wtedy rozpacz moja dochodziła do najwyższego szczytu; całą siłą woli tłumiłem łzy. Nie potrafiłem ich jednak stłumić przy matce w chwili, gdy jej pochwałę a nie order oddawałem.

— No i czego ty płaczesz? — pytała mnie matka.

— Bo nie dostałem orderu.—Więcej mówić nie mogłem z powodu głośnego łkania. Po chwili jednak uspokoił mnie łagodny głos matki, i wtedy głosem przerywanym łkaniem opowiedziałem wszystko. Moje nadzieję, i straszny zawód.

— Ależ, nie masz powodu trapić się —uspakajała mnie matka — my oboje z ojcem zupełnie jesteśmy z ciebie zadowoleni. W tem nie ma nic dziwnego, że starszy kolega więcej od ciebie umie.

Gdy na przyszły rok będziesz uczył się pilnie, jestem pewna, że medal otrzymasz, a teraz zamiast płakać, używaj swobodnie wakacyi.

Słowa matki uspokoiły mnie zupełnie. Skoro rodzice są ze mnie zadowoleni, czegóż trzeba mi więcej, wmawiałem w siebie, a jednak jakiś głos cichy szeptał: Potrzeba ci orderu.

— Aleś był niemądry! — przerwał towarzyszowi Karol, — i co ci też zależało na orderze?

— Zależało bardzo wiele! — odpowiedział Karol. Wszakże to była najwyższa nagroda mająca takie znaczenie, jak u nas w Krzemieńcu złoty medal, a każdy przecież z nas pragnie tej zaszczytnej oznaki.

— U nas co innego! medal, to nie tombakowa blacha z austryackim orłem, — mówił Karol tonem pogardliwym.

— Przepowiednia matki spełniła się jednak. Na przyszły rok order dostałem i jak tryumfator do domu wróciłem. Pierwszą gimnazyalną klasę skończyłem w Zbarażu, a gdy do domu na wakacye wróciłem, przyjechał jakiś krewny mojej matki. Był to człowiek zamożny a bezdzietny, to też naparł się moim rodzicom, żeby mnie mu dali;

obiecał posyłać mnie do szkoły i przyszłość majątkiem swoim zabezpieczyć.

Ojcu ta propozycya jakoś nie w smak poszła, wymawial się, że trudno mu rozłączać się z dzieckiem.

— A czy to z nim i bez tego nie jesteś rozłączony? — mówił ów krewniak. Wszakże go do szkół poza dom dajesz. Gdy mi go oddasz, nie będziesz czuł żadnej różnicy, bo na wakacye, ja ci chłopca przyślę.

Słowa powyższe trafiły do przekonania mego ojca, zwłaszcza, że utrzymanie chłopców w mieście połączone były z kosztami, a z małego folwarczku małe były dochody. Zatem zgodził się na natrętną prośbę krewnego, który mnie też zaraz zabrał.

Mieszkał daleko, bo aż w Czerniowcach, miałem do przebycia drogę daleką; nie nudziło mi się jednak, bo była urozmaicona. I tak zatrzymaliśmy się we Lwowie, tu dobry mój opiekun urządził mi wielką przyjemność, oto zaprowadził mnie do teatru. Jakże byłem uszczęśliwiony! Zdawało mi się, że dostałem się do nieba. Wciągu dalszej drogi zabawiałem się wspomnieniami z teatru.

Nauki szły mi nieźle. Opiekunowie byli dla mnie dobrzy, a gdy zbliżyły

się imieniny mojej matki, opiekunka namówiła mnie żebym list i powinszowanie napisał po niemiecku:—Niech się rodzice przekonają, jakie zrobiłeś postępy w tym języku.

Słowa opiekunki trafiły do mego przekonania, zrobiłem, jak mi doradziła, nie przewidując, jakie rzecz ta będzie miała następstwa.

Gdy list mój niemiecki pod strzechę rodzicielską zawitał, oburzenie ojca nie miało granic.

— Niemca mi zrobią z chłopca, powtarzał — na to ja się zgodzić nie mogę. Co mi po całym obiecanym majątku, jeżeli chłopiec przestanie być Polakiem.

Natychmiast list do mego opiekuna napisał, za opiekę pięknie podziękował, a mnie po skończonym roku szkolnym do domu wracać rozkazał. Sam ciułał, grosz do grosza składał, sobie wygód wszelkich odmawiał, aby tylko zebrać odpowiednią sumkę, poczem oddał mnie i brata do Krzemieńca.

— Więc ciebie niemczyzna do Krzemieńca przyprowadziła, -- rzekł uśmiechając się Karol.

— Obawa mego ojca przed zniemczeniem — poprawił kolegę Józef, poczem mówił dalej. Ciężko było ojcu

za nas opłacać, nie mało było kłopotu i ambarasu z pasportami lub przekradaniem się przez granicę. Wszystko to jednak ojca nie zrażało, chciał bowiem, abyśmy się kształcili w takiej szkole, która rozwija uczucia narodowe, która uczy nie tylko wiedzy, ale i cnoty.

Gdym po raz pierwszy z Krzemieńca do rodziców na wakacye przyjechał, doznałem tak silnych wrażeń, że nie zapomnę tych wakacyi nigdy!

Było to w roku 1809. Książe Józef Poniatowski zajął tryumfalnie Galicyę.

W domu rodziców ujrzałem po raz pierwszy polskich ułanów. Obchodzili uroczyście imieniny Napoleona przypadające 15-go sierpnia.

W Brodach stał wówczas pułk Adama Potockiego, stał nowo sztyftowany pułk Ryszewskiego, szwadron szaserów konnych Prebendowskiego w ogromnych bermycach.

Łatwo pojmiesz, jak mnie to wszystko interesowało! jak rodzice nie mogli nas w domu utrzymać. Obaj z bratem pieszo biegaliśmy do Brodów, aby widzieć mustry i ćwiczenia nowego wojska.

Nie mogąc być żołnierzem prawdziwym, przynajmniej z drewnianym pałaszem i w papierowych, własnego wy-

robu czapkach i ładownicach, uwijaliśmy się z bratem po naszym lasku, ścinając nielitościwie paproć, która nam wyobrażała wrogów.

— Takiś młody, a przeszedłeś już tyle ciekawych przygód, — odrzekł Karol, gdy Józef opowiadać przestał.

— W każdym razie starszy jestem od ciebie, odpowiedział Józef przybierając poważną minę.

— Starszy, starszy! wszakże obaj urodziliśmy się 1797 roku — odpowiedział tonem urazy Karol.

— Prawda, urodziliśmy się jednego roku, ja jednak przyszedłem na świat 19 marca, t. j. w dzień mego patrona. a ty także w dzień swego patrona, t. j. 4-go listopada.

— O te kilka miesięcy, czy warto się sprzeczać? — pytał Karol.

— Oczywiście, że nie warto, lecz zaprzeczyć się nie da, że starszy jestem, — mówił Józef, — i tytułem mego starszeństwa żądam, abyś i ty opowiedział przygody z lat twoich dziecięcych. No rozpoczynaj starcze szesnatoletni; — dodał żartobliwym tonem.

— Nic ciekawego do opowiadania nie mam, — odpowiedział Karol.—Od czasu, gdy otworzono szkołę w Krzemieńcu,

jestem jej uczniem, a w trzy lata później i ty do Krzemieńca przybyłeś, zatem nasze przygody są wspólne, więc obydwaj je znamy dokładnie. Jeżeli jednak chodzi o to, abym ci się odwzajemnił, za twoje opowiadanie, to mogę ci opowiedzieć nie o sobie, lecz o moich starszych braciach, którzy śmiercią męczeńską zginęli podczas rzezi Pragi, roku 1794.

— Co ty mówisz! — zawołał Józef, — twoi bracia zginęli podczas rzezi Pragi, wszak wtedy dziećmi być musieli.

— Oczywiście, że dziećmi byli — odpowiedział Karol — a czyż to mało dzieci w tym nieszczęsnym dniu zginęło? Mój ojciec walczył na szańcach Pragi, a gdy spostrzegł, że armja Suworowa górą, że pomimo nadludzkich wysileń, Praga dostanie się w ręce okrutnych wrogów, porwała go taka rozpacz, że z garstką niedobitków rzucił się na oddział rosyjski liczący kilkakroć więcej ludzi. Przeważne siły wrogów nie przestraszały naszych wojowników, woleli śmierć niż niewolę. Niebawem zabici lub ciężko ranni, padli pod pałaszami wrogów.

Znalazł się na Pradze jakiś litościwy człowiek, który śród poległych wyszu-

kał żyjących i pospieszył nieszczęśliwym z pomocą. On to uniósł z placu boju mego ciężko rannego ojca który dzięki staraniom poczciwego człowieka, ocalał.

Rodzice moi mieszkali we własnym domu na Pradze. Gdy wojsko rosyjskie zdobyło Pragę i rozpoczęło krwawą gospodarkę, mordując, rabując i paląc; matka ujrzawszy nasz dom w płomieniach, pochwyciła młodszego synka na rękę, starszego za rękę i chciała ratować się ucieczką. Zaledwie z domu wyszła, kula nieprzyjacielska ugodziła maleństwo na rękach matki w głowę. Biedactwo zalane krwią wyzionęło ducha; matka na ten widok padła zemdlona.

W zamieszaniu starszy mój braciszek gdzieś się zaniewieruszył. Gdy matka oprzytomniała, natychmiast pytała o starszego synka, wtedy udano się na poszukiwania za dzieckiem. Niebawem odnaleziono biedactwo w okropnym stanie: płonęły na nim sukienki! Malec bowiem szukając matki śród zgliszczy zapalił na sobie ubranie. Nim ugaszono na nim ogień, odniósł tak ciężkie rany, że na drugi dzień w straszliwych męczarniach skonał.

Możesz wyobrazić sobie niezmierną

boleść rodziców! W jednej chwili utracili wszystko: wolną ojczyznę, dzieci i mienie. W pracy szukali pokrzepienia. Przyjaciel mego ojca wydzierżawił mu wieś, w tych stronach. Żyją tam i pracują ciężko i starają się, aby nam trzem braciom dać uczciwe wychowanie i wykształcenie.

Ot, widzę, że lepiej było ci nie opowiadać, bo słuchając mnie posmutniałeś, — dokończył Karol.

W tej właśnie chwili nadbiegli inni koledzy i obu młodzieńców ze sobą zabrali, nie pozwalając im na smutne rozmyślania.

Ciekawi zapewne jesteście, co to za jedni ci dwaj uczniowie szkoły krzemienieckiej? Józef, nazywa się Korzeniowski, Karol zaś—Kaczkowski. Obaj skończyli szkołę w Krzemieńcu, Józef Korzeniowski kończył dalsze nauki w Warszawie, Karol Kaczkowski w Wilnie. Tu uczył się medycyny, mając zamiłowanie do nauk przyrodniczych.

Po skończeniu szkoły w Krzemieńcu, wielu uczniów udawało się na dalszą naukę do Wilna. Po większej części byli ubodzy i nie mający odpowiednich środków, pieszo z Krzemieńca do Wilna wędrowali.

Obiecywali sobie, że w Wilnie znajdą lekcye, zatem możność utrzymania się w mieście. Lekcye zazwyczaj znajdowali, nie każdy jednak znalazł je odrazu, a w takim razie trzeba było przymrzeć głodu. Biedniejszym kolegom przychodzili z pomocą zamożniejsi.

Najbardziej koleżeństwem odznaczali się Krzemieńczanie, przejęci duchem i naukami Czackiego. Owóż Karol Kaczkowski pamiętał doskonale zalecaną przez Czackiego miłość braterską, a piękny dowód tej pamięci dał zaraz, przybywszy do Wilna.

Oto z bratem starszym Adamem założył stowarzyszenie w celu wspomagania ubogich kolegów, sami bogaczami nie byli, to też robili sobie uszczerbek, uważali jednak swoje położenie w porównaniu z ubogimi kolegami za szczęśliwe, mieli bowiem stały i pewny dochód, bo pobierali stypendya.

Karol Kaczkowski i Józef Korzeniowski zeszli się znowu w Krzemieńcu po kilkunastu latach. Kaczkowski osiadł tu jako lekarz praktyjący, Korzeniowski zaś był profesorem w tej ukochanej szkole, w której był dawniej uczniem. Wszyscy Krzemieńczanie kochali szkołę

jak dom rodzinny, to też z radością do Krzemieńca wracali.

Karol Kaczkowski powrót do Krzemieńca zawdzięczał wyłącznie swoim dawnym kolegom, Krzemieńczanom.

Pobierał przez długi czas studyów uniwersyteckich w Wilnie stypendyum rządowe. Stypendysta po skończeniu nauk miał obowiązek służyć rządowi przez kilka lat.

Dawni koledzy uwolnili Kaczkowskiego od tego przykrego obowiązku. Oto złożyli taką kwotę, jaką Kaczkowski otrzymał od rządu przez wszystkie lata pobytu w Wilnie. Po zwróceniu pieniędzy rządowi, Kaczkowski był wolny i mógł powrócić do ukochanego sobie Krzemieńca, dzięki ofiarności koleżeńskiej.

Zdarzenie to przytaczam, aby was przekonać, że wszczepiana w uczniów krzemienieckich nauka miłości bratniej dla kolegów w las nie poszła; że wierni jej byli życie całe.

Gdyby Karol Kaczkowski szedł za swojem osobistem upodobaniem, nie byłby nigdy Krzemieńca opuścił. Ale zdarzyła mu się sposobność służenia na szerszem polu swemu społeczeństwu, i dlatego z wielkim żalem Krzemieniec

opuścił. Wezwano go roku 1830 do Warszawy gdzie ofiarowano mu katedrę na wydziale lekarskim. Zaledwie młody profesor rozpoczął tam swoje wykłady, aliści otworzyło się przed nim inne pole działania.

W roku 1830 wybuchło w Warszawie, a potem w całym kraju powstanie, zwane listopadowem. W szeregi wojskowe biegła młodzież, odkładając naukę na później. W szeregi obrońców ojczyzny pospieszył także Kaczkowski.

Wstąpił do artyleryi, gdzie mianowano go bombardyerem i dano mu pod komendę dwie armaty i 12 kanonierów. Podczas gdy profesor, bombardyer i jego podkomendni, kanonierzy poznawali swoje nowe obowiązki, przy pomocy danego im podoficera, otrzymał Kaczkowski nominacyę na naczelnika czynnej służby zdrowia przy armii polskiej. Naczelny lekarz miał rangę generała.

Nie awans jednak skłonił Kaczkowskiego do przyjęcia nowego obowiązku, ale przeświadczenie, że na nowem stanowisku będzie służył swemu społeczeństwu z większym pożytkiem. Służba lekarza podczas wojny jest równie niebezpieczna, jak żołnierza idącego w ogień bojowy. Pod gradem kul unoszono z

pola bitwy rannych i opatrywano ich. Czasami po bitwie bywało kilka tysięcy rannych, można wyobrazić sobie ile to pracy dla lekarza!

Na domiar złego wybuchła w armii cholera. Niebezpieczeństwo i trud dla lekarzy zdwojony. W czasach tych naczelnik zdrowia był niezmordowany, czuwając nieustannie nad nieszczęśliwymi. Żołnierze w ogień bojowy szli jak do tańca; wszakże walczyli za wolność matki Ojczyzny, więc dla niej nie żałowali życia; ale gdy cholera przykuła nieszczęśliwych do łoża, rozpaczali i wyrzekali gorzko.

— Dlaczego Bóg nie pozwolił nam zginąć na polu sławy, — mówili, — lecz w chwili gdy jesteśmy ojczyźnie najpotrzebniejsi, zsyła na nas chorobę śmiertelną!

Karol Kaczkowski, przy łożu rozpaczających żołnierzy, z lekarza stawał się pocieszycielem, uspakajał nieszczęśliwych. Dzięki naczelnemu lekarzowi i podwładnym mu lekarzom przytłumiono straszną epidemię.

Wielu lekarzy, a na ich czele, Kaczkowski, za gorliwe pełnienie obowiązków, otrzymali złoty krzyż zasługi, noszący nazwę „*Virtuti Militari*“ (Męstwu wojennemu)

Po nieszczęśliwym upadku powstania listopadowego, część wojska wyszła z kraju, a z wojskiem i Karol Kaczkowski, pełniący nieustannie służbę lekarza wojskowego. Powrót do Warszawy lub Krzemieńca był niemożliwy.

Karol Kaczkowski nie pozostał jednak za granicą, jak wielu, bo tęsknota za krajem nie pozwalała mu na to, osiadł we Lwowie. Tu jednak tęsknił także za rodzinnemi stronami, do których niebawem powrócił, dzięki wysokiej protekcyi.

Namiestnikiem Galicyi był wtedy arcyksiążę Ferdynand, stary i słabowity. Do chorego arcyksięcia wezwano Kaczkowskiego, cieszącego się sławą lekarską. Chory polubił tak bardzo lekarza, że wyjednał mu u rządu rosyjskiego pozwolenie powrotu na Wołyń. Tu Kaczkowski przebywał do roku 1863.

Po upadku powstania styczniowego wzmogły się znowu prześladowania Polaków. Prześladowano nawet osoby nie biorące udziału w powstaniu. Dotknęły one także Karola Kaczkowskiego, który do niego nie należał, uważał je za przegrane.

Bez względu na sprawiedliwość, wy-

wieziono sędziwego starca do miasteczka Wałujek w gubernii Worouezskiej.

Było tu już wielu polskich wygnańców. Karol Kaczkowski, jakkolwiek znękany chorobą, wiekiem i rozlicznemi zmartwieniami, nie upadał na duchu, a widząc rodaków pogrążonych w rozpaczy, chciał ich umocnić i pokrzepić Urządzał dla nieszczęśliwych rozrywki umysłowe, odczyty z najrozmaitszej dziedziny wiedzy, sam chociaż staruszek, brał w nich czynny udział, wykładał nauki przyrodnicze.

Pożyteczny swój żywot zakończył roku 1867. Pozostało po niestrudzonym pracowniku wiele pism z zakresu medycyny, a prócz tego wspomnienia z jego życia, które wydano już po jego śmierci.

Z tych wspomnień czerpaliśmy nie jeden szczegół przy opisie zwyczajów w szkole krzemienieckiej.

Kolega Kaczkowskiego, Józef Korzeniowski służył swemu społeczeństwu w inny sposób: zasłynął jako autor, stanął w pierwszym rzędzie dramaturgów i powieściopisarzy.

Oprócz tego był profesorem. W Krzemieńcu wykładał lat 10, do czasu zniesienia tej znakomitej szkoły, a stało się to po upadku powstania listopado-

wego. Wtedy prześladowano nas w sposób straszliwy. Zwijano polskie szkoły, zatem i słynną szkołę w Krzemieńcu, którą przeniesiono do Kijowa 1863 r.

Korzeniowski był tu jakiś czas profesorem, później dyrektorem gimnazyalnym w Charkowie, a następnie w Warszawie. Roku 1863 zmarł w Dreznie.

KONIEC.

Do braci z Wielkopolski.

Czy słyszycie? młoty walą, tętni łoskot głuchy,
Tam na karki naszych braci kuje wróg łańcuchy,
Nowym ogniem rozgorzała piekielna kuźnica,
Smok germański, krwawą paszczą straszny żar podsyca.
Czy słyszycie? wiatr od wschodu żałośnie szeleści,
Klątwy starców, groźby mężów, głośny płacz niewieści,
Skargi zbiegłe z ust tysiąca, ku nam płyną razem,
Komu z bólu pierś nie pęka, byłby martwym głazem.
Także ziemio starych Lechów przypadła ci dola!
Cudze chwasty zagłuszyły twoje żyzne pola!
Tam, nad Gopłem, kędy orzeł siadł na gnieździe biały.
Skąd żywotne chrztu krynice na kraj się rozlały,
Gdzie krzyż ręką apostolską na wieczność zatkwiony,
Cały naród szerokiemi ogarną ramiony:
W kraj Lechitów, obcy przybysz groźną chmarą pędzi.
I wydziera ojcowiznę synom, piędź po piędzi.

Gdzie tknąć stopą, jak potworny polip się rozrasta,
Depce hardo święte zgliszcza onej chaty Piasta.
Kędy Bożych posłanników kmieć nasz gościł miodem,
Zaczem ujął w dłoń poczciwą berło nad narodem.
Owo berło, co w Chrobrego żelaznej prawicy,
Miało pomknąć pędem gromu, lotem błyskawicy,
Ziemio Piastów, mowo Piastów, czyż cię świat ten wydrze,
Złączmy siły, stawmy czoło tej niemieckiej hydrze.
Kraj nasz długi i szeroki, acz w kęsy zszarpany,
Wszak falują złotym kłosem nasze bujne łany;
Kto nie może sypnąć garścią, niech da jedno ziarno,
W okup ziemi, niech poświęci tę siejbę ofiarną!
Wróg skrępował nasze barki potrójnym łańcuchem,
Lecz co znaczą twarde pęta, gdyśmy wolni duchem!
Byle wola z wolą zgodna, serce z sercem w zgodzie,
Nie zaleją nas germańskie, ni żadne powodzie;
Te łańcuchy co nas więżą, twardy topór skruszy,
Lecz żar święty co wybucha z głębi polskiej duszy,
On ma siłę tajemniczą, przemoc go nie złamie!
Hej pierś z piersią, serce z sercem, do ramienia ramię!
Skujmy łańcuch wiecznotrwały, niech każde ogniwo,
Tchnie miłością i nadzieją, i wiarą tchnie żywą;
Obok mężów niechaj stanie dziecko i niewiasta,
Taki łańcuch niech oplecie wkrąg dziedzinę Piasta.
Siła jego cudotwórcza moc piekielną zmoże!
Bracia moi! Do łańcucha! Dalej — w imię Boże!

Seweryna Duchińska.